

JÓZEF ŁOPATKA: I tyle było mojej wojaczki...

JÓZEF ŁOPATKA, ur. 1951r. w Bielsku-Białej. Od 1971 r. pracownik PKP w Bielsku-Białej. W 1980 wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Dyrekcji Rejonowej Kolei Państwowej i członek Regionalnej Komisji Rewizyjnej „S” w Regionie Podbeskidzie. Zatrzymany przez SB 16 grudnia 1981 r., w trybie doraźnym skazany na 5 lat i 6 miesięcy więzienia za to, że „przystąpił do organizowania konspiracyjnej struktury zawieszonoego związku zawodowego oraz akcji protestacyjnej przeciwko stanowi wojennemu”. Zwolniony 11 kwietnia 1983 z warunkowym zawieszeniem dalszej części kary. Wyrzucony z pracy w PKP 8 II 1982, od 8 VIII 1983 pracownik spółdzielni Domena, skąd został zwolniony po interwencji SB. Od 1 IX 1984 zatrudniony w Przedsiębiorstwie Polonijnym „Marbet”. W 1989 był tam założycielem i przewodniczącym KZ „S” (pierwsza w Polsce organizacja „S” w firmie polonijnej). W 2005 r. uhonorowany tytułem „Zasłużony dla Solidarności Podbeskidzia”, w 2009 odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dwunastego grudnia szwagier świętował w moim domu w Kamienicy swe imieniny. Rano wstałem trochę później i od razu dowiedziałem się z telewizji, że jest stan wojenny. Szybko się ubrałem i na piechotę, bo autobusy nie jeździły, poszedłem na dworzec Bielsko-Biała Główna, bo tam mieliśmy siedzibę naszej zakładowej „Solidarności”. To kawał drogi. Szedłem gdzieś z półtorej godziny. Na stacji byłem koło dziesiątej, może jedenastej. Zostałem tam już naszego przewodniczącego, Zdzisława Grzegorskiego i Ryśka Juraszka, drugiego wiceprzewodniczącego. Drzwi naszego biura nie były opieczetowane, nikt też się tam nie włamywał ani nie buszował w środku. Zdzisiek był wyraźnie spanikowany. Pamiętam, że ciągle kłął w żywy kamień. Powiedziałem chłopakom, że nie ma co siedzieć, bo nas zaraz zamkną, tylko brać najważniejsze rzeczy i zmykać. Uważałem, że trzeba wziąć kasę i dokumentację finansową, a przede wszystkim naszą świętość: sztandar z naszą patronką, św. Katarzyną. Poświęciliśmy go kilkanaście dni wcześniej, na święto św. Katarzyny w kościele przy dworcu. Drzewce zostawiłem, a sztandarem owinąłem się w pasie i na to założyłem płaszcz. Wziąłem jeszcze paczkę matryc, bo pomyślałem, że mogą się przydać. Ruszyłem piechotą w powrotną drogę, znowu półtorej godziny. Wynieśliśmy wtedy też kasę i jakieś dokumenty. Więcej już nic nie dało się zabrać. Potem chłopaki oddały pieniądze i papiery, ale przynajmniej mieliśmy pewność, że nikt nam niczego nie poniszczył czy podprowadził. Przynajmniej finanse się zgadzały. Z kolei sztandar był początkowo schowany u mnie. Tam przetrwał moje aresztowanie.

Gdy siedziałem Grzegorski zaczął się o niego upominać, więc na widzeniu z rodziną zgodziłem się, by Heniek Malik załatwił z księdzem Mroczkim, by wziął ten sztandar do siebie. Faktycznie był tam jakiś czas, ale chyba ksiądz się bał, bo w końcu sztandar wylądował u księdza Powady w kościele św. Mikołaja. Warto dodać, że był to jedyny na Podbeskidziu sztandar „Solidarności”, który nie dostał się w ręce esbecji.

Wracając do tamtej niedzieli, trzynastego grudnia. Dotarłem szczęśliwie do domu owinięty sztandarem i z matrycami za pazuchą. Następnego dnia normalnie poszedłem do pracy. Mój dyrektor Andrzej Tatara skazał mnie na wewnętrzne „internowanie”. Komisja Zakładowa miała swą siedzibę na stacji, a mnie przeniesiono do biura księgowości na ulicę Sienkiewicza, gdzieś kilometr dalej. Tam miałem siedzieć, nie mając nic do roboty. W ten prosty sposób odizolowali mnie od reszty pracowników. Po pracy chodziłem po mieście, szukając znajomych. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba pod kościołem św. Mikołaja pod wieczór spotkałem przypadkowo kilku znajomych. Na pewno w tej grupce byli Wacek Szlegr, Kazek Szmigiel, Władek Waluś, Antek Bobowski, Zdzisiek Honkisz, chyba też Tadek Adamski. Na pewno nie było tam Patryka Kosmowskiego. Było nas sporo, trochę się baliśmy. Nie staliśmy w kupie, tylko w kilku grupkach, co chwila ktoś dochodził, ktoś odchodził. Nie było żadnych decyzji co do działania, tylko pomysł, by się gdzieś spotkać w bezpieczniejszym miejscu. Honkisz podał nam swój adres na Goleszowskiej, byśmy tam się spotkali następnego dnia. Po chwili się rozeszliśmy.

Po tym spotkaniu pod kościołem poszedłem razem z Wackiem Szlegrem i Antkiem Bobowskim (może był ktoś jeszcze) do księdza Mroczka, proboszcza parafii przy dworcu. Tam były święcone nasze sztandary, zarówno kolejowy jak i regionalny, więc była jakaś większa zażyłość. Chcieliśmy się go poradzić, co mamy robić. Dokładnie pamiętam to spotkanie, było krótkie i na stojąco, gdzieś w przedpokoju plebanii. Ksiądz był wystraszony chyba jeszcze bardziej niż my. Powiedzieliśmy mu, że chcemy przeprowadzić akcje ulotkowe. Próbowaliśmy nas od tego odwieść, doradzając równocześnie, byśmy uważali na siebie i... ciepło się ubierali. Chyba w ten sposób chciał nam dać do zrozumienia, że pewno szybko wpadniemy i przyda się nam w więzieniu ciepłe ubranie.

Tej nocy nie spałem w domu. Razem z Antkiem Bobowskim i chyba Wackiem Szlegrem nocowaliśmy u jakiegoś nauczyciela, znajomego Antka, przy ulicy Sobieskiego. Sporo gadaliśmy, co dalej robić: czy próbować organizować strajki czy tylko wydać ulotki. Mieliśmy szczątkowe informacje o tym, co się dzieje w zakładach. Bardziej to były pogłoski niż konkretne wiadomości. Każdy mówił, że coś słyszał, że ktoś mu mówił, ale pewnych informacji nie było.

Na spotkanie na Goleszowskiej wziąłem matryce. Papier miał zorganizować ktoś inny (dopiero później się dowiedziałem, że to Marek Wojtas zadeklarował się go załatwić). Całością, związaną z poligrafią drukiem, miał się zajmować Kazek Szmigiel i to właśnie jemu przekazałem matryce. Na tym spotkaniu było nas sporo - pamiętam, że byli gospodarze, czyli Honkisz z żoną, Adamski,

Achinger, Bobowski, Szlegr, Szmigiel, Waluś, Wojtas, Jarek Kolmer i chyba Ewa Szostakowska. Podczas spotkania prym wiódł Wacek Szlegr, można powiedzieć, że to on je prowadził. Nie zapadły żadne wiążące decyzje poza tym, że organizujemy piątkę, która miała koordynować działalność. Tę piątkę tworzyliśmy na zasadzie zgłaszania się czy też wyznaczania przez innych. To było na zasadzie: kto chce, niech się zgłosi. Za bardzo tłoku nie było, a były też odmowy. Ja się zgłosiłem sam. W tej piątce byli też Wacek Szlegr, Antek Bobowski, Kaziu Szmigiel i jeszcze ktoś, już nie pamiętam. Każdy dostał jednego człowieka – łącznika, przez którego miał się kontaktować z pozostałymi. Moim łącznikiem został Władek Waluś – trochę się znaliśmy, bo on udzielając się w „Solidarności” PSS- bywał w regionie, więc się spotykaliśmy na jakichś zebraniach. Łącznicy mieli też dla nas zbierać informacje z terenu. Wiedzieliśmy, że jest kontakt z Patrykiem, ale też mieliśmy wiadomość, że on sam nie będzie uczestniczył w spotkaniach. Nie wiem, kto miał mieć z nim łączność.

Na tym spotkaniu nie zapadły żadne decyzje co do strajku. Były jedynie rozważania o tym – mieliśmy wysondować, nastroje wśród ludzi. Od tego zależało, czy pójdziemy tylko w ulotki, czy też w kierunku strajku. Później, już w trakcie śledztwa, jedną z obciążających nas okoliczności była sprawa zgaszonego światła w pokoju, w którym się naradzaliśmy. Pamiętam, że w pewnym momencie ktoś rzucił hasło, że trzeba zgasić światło, bo z okolicznych, wysokich bloków widać, że jest jakieś zebranie, że siedzi kupa facetów. Spotkanie zakończyło się ustaleniem, że następnym razem widzi się tylko wybrana piątka.

Wróciłem do domu przespać się. Rano poszedłem do pracy, na moje zesłanie. Koło dziesiątej, może jedenastej przyjechała po mnie esbecja. Było ich trzech. Nawet mnie nie skuli, ale w biurze wszyscy w strachu, panika, bo większość stanowiły kobiety. Zabrali mnie na Rychlińskiego i tyle było mojej wojaczki...

Dlaczego wpadliśmy? Miałem bardzo dużo czasu, by to przemyśleć. Moja teoria jest taka, że ewidentnie było to (przynajmniej po części) sprowokowane przez ubecję. Mogli chcieć rozeznąć, kto spośród tych, których nie internowali, będzie chciał coś zrobić, a kto się nie wychyli. Faktem jest, że wiedzieli mnóstwo, więc musieli mieć kogoś w naszej grupie. Na sto procent ktoś donosił lub sypnął zaraz po zatrzymaniu. Nie mam żadnych podejrzeń, nie odważyłbym się... Inni różnie mówili, były pretensje na przykład do Wacka Szlegra. Ja nic nie mogę powiedzieć. Wacek w więzieniu swoje odsiedział, za kratami był w porządku. Wyszliśmy na wolność mniej więcej w tym samym czasie.

Wracając do mojego zatrzymania. Gdy przywieźli mnie na komendę, to inni już musieli tam być, ale nikogo nie spotkałem. Brali nas z domów czy zakładów pojedynczo. Z korytarza wziął mnie na przesłuchanie jakiś ubek. Zdjął płaszcz, pod spodem miał kaburę. Wyjął pistolet, położył na biurku i powiedział: „No, panie Łopatka, to teraz pojedziemy na białe niedźwiedzie”. Nie wiem, skąd mi

się wzięło takie coś, ale od razu mu wypaliłem: „Cóż, jak trzeba będzie, to pojedziemy”. Popatrzył na mnie, schował pistolet do szuflady. Zrozumiał chyba, że ciężko mnie będzie nastraszyć. Nie wiem, jak się nazywał – oni nie mieli w zwyczaju się przedstawiać.

Zostawili mnie w tym pokoju ze cztery godziny, samego, bez jakiegokolwiek przesłuchiwania. Czasem tylko ktoś zaglądał przez drzwi. Przesłuchania zaczęły się pod wieczór. Próbowali mi wcisnąć wiele rzeczy. Bardzo im zależało, bym się przyznał, że należę do KPN-u. Jakaś bzdura! Do Konfederacji należeli Walczak, Hofman, Wielgolawski i niewielu więcej. Nawet im musiałem opaski pożyczać z mojej komisji, gdy chcieli zrobić jakąś manifestację. Inna sprawa, że esbecja dużo już wiedziała. Miałem wrażenie, że jako takich dowodów nie mieli, ale w przesłuchaniach wykorzystywali każde nasze potknięcie, każdą nieścisłość. Czułem, że inni też już muszą siedzieć i być przesłuchiwanymi. O moich matrycach chyba nie wiedzieli albo im to umknęło. W każdym bądź razie nie pytali o nie, więc i ja o nich nie mówiłem. Pytali cośmy planowali, co chcieliśmy robić... Były też momenty tragikomiczne. Pamiętam, gdy nie było przesłuchującego mnie ubeka, jakiś sierżant, który miał mnie pilnować, pytał mnie szeptem, czy prawdą jest, że mieliśmy mordować ich żony i dzieci. Całkiem na poważnie! „Niby czym? Stuknij się, chłopie, w łeb!” – odpowiedziałem. Ale skoro pytali, to znaczy, że swojej propagandzie tak na sto procent też nie wierzyli. Pamiętam też, jak już nas wozili z aresztu na Słowackiego do sądu, to nas eskortowali zomowcy. Taki jeden chorąży przysłuchiwał się tej rozprawie i tylko się śmiał, że o takie bzdury nas oskarżają. Powiedziałem mu: „Chłopie, zobaczysz, co będzie na koniec...”. Jak usłyszał wyrok, to tylko stęknął: „O, kurwa!”.

W ten pierwszy wieczór, gdy przesłuchiowano mnie na komendzie, w pewnym momencie do pokoju, w którym mnie trzymano, weszło dwóch esbeków. Jednym z nich był kapitan Henryk Bydliński. Znałem go z czasów, gdy studiowałem zaocznie na Wydziale Prawa i Administracji na UŚ-u. Tam połowa studentów była ze skierowaniami albo z Urzędu Wojewódzkiego albo z SB czy milicji, by uzupełnić wykształcenie. Tylko oni nie zdawali egzaminów. Tam właśnie poznałem Bydlińskiego. Teraz wyraźnie byli podpici, pewno świętowali sukces, jakim było rozbicie podziemia. Heniek tylko kręcił głową, a ten drugi, taki agresywny, tylko mówił: „No co, kurwa, pewno w jednej ławce z nim siedziałeś. Może mu jeszcze odpisywać dawałeś? A ja bym skurwysyna za komendę wyprowadził i w tył głowy strzelił przy próbie ucieczki!”.

Po esbeckim przesłuchaniu było spotkanie z jakimś prokuratorem, bodajże był to Dyrzoń. Odmówiłem rozmowy z nim. Powiedziałem, że jestem zmęczony i głodny, bo od rana nic nie jadłem. Wtedy przynieśli jakąś starą parówkę, suchą bułkę i herbatę. Lepsze to niż nic. Zjadłem i wtedy prokurator mógł spisać protokół, a potem wydać decyzję o tymczasowym aresztowaniu. Była już noc, może po dziesiątej. Przyszli do mnie i mówią: „Wychodzimy”. Myślę sobie: „Ki czort? Gdzie mnie prowadzą o tej porze?”. Wyprowadzili mnie przed komendę, a tam widzę, że prowadzą

Achingera. Trząśł się jak galareta, był w strasznym stanie. Zrobiło mi się go żal, próbowałem go jakoś pocieszyć, dodać otuchy. Skuli nas we dwójkę i zapakowali do milicyjnej suki. Ruszyli w stronę Jaworza, potem dalej na Skoczów. Myślałem nawet, że wywiozą nas do Czechosłowacji. Jednak nie, trafiliśmy do aresztu w Cieszynie. Po drodze esbecy zaczęli się ordynarnie zachowywać. To było szesnastego grudnia, tuż po masakrze na „Wujku”. A oni zaczęli komentarze typu: „Tak, naszych chcieli zabić! Teraz wam pokażemy!”. Wyraźnie byli rozjuszeni...

W celi siedziałem z Achingerem. Dużo z nim rozmawiałem. „Co ci, chłopie, zrobią? Co się przejmujesz?” – mówiłem mu. W końcu wyraźnie się uspokoił, już był inny. Rano nas zbudzili i zawieźli z powrotem do Bielska, do Prokuratury. Po przesłuchaniu przez Wydrzyckiego zawieźli mnie, już samego, do Żywca. Takie mi wycieczki po Podbeskidziu urządzili. Trafiłem na dołek przy komendzie milicji. Tam klawiszem był milicjant, niejaki Kamiński z Kamienicy. Zналиśmy się, bo razem chodziliśmy do podstawówki. Widziałem, że mnie poznał, kiwnął nawet głową, ale wyraźnie był szczęśliwy, że się do niego nie odezwałem. Do celi włożyli mi takiego dziwnego gościa. Miał mnóstwo papierosów, to już było podejrzane. Zaczął mi opowiadać, że współpracował z Patrykiem, że mu jakieś dokumenty woził do Austrii. Grubymi nićmi to było szyte. Zachowałem do niego odpowiedni dystans. Byłem tam kilka dni. Ze dwa dni przed świętami przewieźli mnie do Bielska-Białej, na górkę. W dwuosobowej celi było nas dziewięciu. Spało się pokotem. Były jakieś koce, jakieś materace, ale byle jakie. Poza mną siedzieli tam sami pospolici przestępcy. Był nawet jeden pułkownik – trzydziestoparoletni facet, który 18 lat przesiedział w więzieniach. Miał wytatuowane dystynkcje pułkownika, był szarżą wśród grypsery. Okazało się, że w kamienicy pracował u mojego znajomego w sadach. Pomógł mi zaaklimatyzować się w tym innym świecie. Nie odczułem najdrobniejszej nawet niechęci ze strony kryminalnych, także później. Pamiętali, że to „Solidarność” upominała się o warunki w więzieniach.

Nie miałem żadnej konfrontacji, jedynie między świętami a nowym rokiem przyjechali do mnie esbecy. Pokazali mi papiery, że niby wszystko wiedza, wszystko mają: nazwiska, miejsca spotkań i ich przebieg. Pytali, kogo znałem. „Przecież działaliśmy razem, legalnie” – odpowiedziałem, przyznając się do znajomości z Antkiem Bobowskim, Wackiem Szlegrem i kilku innymi.

Sporządzając akt oskarżenia podzielono nas na dwie grupy chyba tylko dlatego, by nas przeciwko sobie rozgrywać, by każdą drobną nieścisłość jednych interpretować przeciwko drugim. Ze mną sądzono Achingera, Kucharczyka, Sznepkę, Walusia i Wojtasa. W drugiej grupie znaleźli się Bobowski, Adamski, Honkisz, Szmigiel i Szlegr. My mieliśmy błyskawiczną rozprawę, chyba dwa, może trzy posiedzenia i wyrok zapadł już 7 stycznia. Potem jednak wożono mnie jeszcze na rozprawy drugiej grupy. Któryś z prokuratorów czy esbeków powiedział, że ja potwierdziłem, że się spotykaliśmy. Jak się wkurwiłem. „Bzdura totalna!” – krzyknąłem. Myśleli, że w moich zeznaniach będą mieli potwierdzenie swych oskarżeń.

Nasz akt oskarżenia był śmieszny. Według prokuratora jednym z najważniejszych dowodów naszej winy był fakt, że na Goleszowskiej siedzieliśmy po ciemku! Nawet w świetle dekretów wojennych nic nie zrobiliśmy. Jednak jak wchodziłem na sale rozpraw, to wiedziałem, że mam jak w banku trzy i pół roku, bo tryb doraźny mniej nie przewidywał. Jednocześnie wiedziałem (może to intuicja?), że takiego wyroku do końca nie odsiedzę, bo sytuacja w kraju jest taka, a nie inna. Jak mi jednak Bańbuła odczytał wyrok, to się roześmiałem. Z tyłu rodziny w płacz, a ja się śmieję, jakby mi rozum odebrało. Ale to było zwyczajnie śmieszne. Prokurator żądał dla mnie siedmiu lat więzienia, najwięcej z wszystkich, a do tego przepadku mienia w całości. Tego się najbardziej bałem. Ostatecznie dostałem pięć i pół roku więzienia, najwyższy wyrok w naszej grupie.

Przynajmniej nie było konfiskaty mienia.

Długo się zastanawiałem, dlaczego akurat ja zostałem tak surowo potraktowany. Zeznania innych akurat tak mnie nie pogrążyły, bym zasłużył na takie wyróżnienie. Może było tak, że chcieli na zastraszenie Bielska dać wysokie wyroki i traf chciał, że ten najbardziej surowy przypadł mi – na zasadzie: nieważne kogo, ale kogoś musza przykładowie ukarać... Padło na mnie. Może też była to zemsta esbeków. Mogli być na mnie cięci za moją postawę. Przed grudniem, gdy byłem wiceszefem na kolei, mieliśmy koło bielskiego dworca (jako jedni z pierwszych) gablotę „Solidarności”. Co chwilę nam ją zaklejali, zamalowywali. W odpowiedzi pisałem: „Jeśli masz zdolności artystyczne, to przyjdź, udostępnimy ci gablotę!”. Musiało ich to wkurzać. Mój szef, Zdzisiek Grzegorski, był bardziej ugodowy, miękki. Cały czas z dyrektorem szedł na układy. Ja nie i może to mi zaszkodziło...

W połowie stycznia transportem ruszyłem szlakiem polskich zakładów karnych. Najpierw Racibórz, potem Strzelce Opolskie. Tam nas, skazańców z Podbeskidzia, podzielono: część, między innymi Władka Walusia i Adamskiego, powieziono do Kłodzka, natomiast ja trafiłem do Wrocławia na Kleczkowską (ZK nr 1), a stamtąd do Strzelina. Z tego więzienia mnie wykopali na wolność 11 kwietnia 1983 roku.

W tym nieszczęściu miałem szczęście siedzieć ze wspaniałymi ludźmi, między innymi z Edkiem Nowakiem, Mietkiem Gilem. Na spacerniku często widziałem się ze Staszkiem Handzlikiem, potem byliśmy razem pod celą. We Wrocławiu spotkałem też Wieśka Pyzio, chłopaków z „Wujka”, w tym Staszka Płatka. Tam też po spacerniku często gadałem z Staszkiem Sznepką. Był bardzo podłamany, jak na początku Ignacy Achinger. Pewno gryzł się, bo ktoś mu zarzucił, że to on posypał całą grupę. Ja w to nie wierzyłem.

Co tu kryć, czasem było straszno, ale czasem też śmieszno. Bywało, że robiliśmy sobie z klawiszów normalne jaja. Nie wiedzieli za bardzo, jak nas traktować, co z nami robić. Byłem zawsze starszym celi, co rano krzykiem składałem meldunki: „Więzień polityczny Józef Łopatka melduje celę. Stan tyłu a tyłu”. Szlag ich trafiał. W Strzelinie był taki kapitan-kurdupel. Chodził po celach odbierać

apele. Dochodziło do takich historii, że ja mu melduję, a on krzyczy: „Nie ma u nas więźniów politycznych”. Ja mu na to: „Są, bo ja nim jestem!”. On znowu: „Nie ma!”, ja w odpowiedzi, że są. Żeby postawić na swoim ostatni raz wykrzykiwał „Nie ma!” i błyskawicznie zatrzasnął drzwi, bym nie zdążył mu odpowiedzieć.

Wiosną 1983 roku zaczęło się coraz częściej mówić o rychłych zwolnieniach. To miały być akty łaski. Na widzeniach zabroniłem rodzinie o cokolwiek prosić, absolutnie niczego nie pisać. Powiedziałem jasno, że nie wyrażam zgody na proszenie o łaskę. Mam bandytów o litość prosić?! Pewnego pięknego dnia w Strzelnie wchodzi do celi oddziałowy i mówi: „Łopatka, pakować się i do komendanta”. Idę i on mi daje ułaskawienie. Okazało się, że to wystąpił mój adwokat. Wiem, że na nich naciskali, by występowali w imieniu swoich klientów nawet wbrew ich woli. Jak już wyszedłem z więzienia i wróciłem do Bielska, to poszedłem do nieżyjącego już Franka Szkuty, bo to on mnie bronił, z pretensjami. „Coś pan zrobił? Kto pana prosił?” – mówię mu, a on, stary obrońca, tylko się uśmiechnął: „Panie Łopatka, co na wolności, to na wolności...”.

Relacja z 14 września 2009 roku, autoryzowana